

„Maciej Korbowa i Bellatrix” - RECENZJE

1. Rozterki „biednej” bohemy

„Maciej Korbowa i Bellatrix” - reż. Krystian Lupa - Teatr Łąźnia Nowa w Krakowie

Czasami zdarza się tak, że mamy możliwość brania udziału w tworzącej się historii. Ponad dwadzieścia lat temu większość z publiczności premierowego starego/nowego spektaklu w reż. Krystiana Lupy była kilkulatkami. Co więc oglądamy dziś? Echo dwudziestoletniej kariery aktorów, którzy wchodzą niby do tej samej, ale jednak innej rzeki.

Patrzemy na nich, jak snują się i miotają. Zamknięci w jakimś własnym, hermetycznym świecie. Grupa ekscentrycznych znajomych, z których każdy próbuje mieć jakiś pomysł na siebie, wyrazić swoją indywidualność. Z tego, co mówią, wynika, że znajdują się w jakimś dużym budynku, pełnym przestrzennych sal, rozmieszczonych na różnych piętrach. Czasami znikają gdzieś w parach mieszanych za ekranem, który zajmuje cały horyzont. Przepadają wtedy w labiryntach własnych pragnień lub, wychodząc wzburzeni, szukają ujścia dla nagromadzonych emocji. Jednak zawsze wracają tu – do jakiegoś pomieszczenia wspólnego, gdzie mogą bezkarnie powyżywać się na sobie.

Na czele tej melancholijnej grupy stoi charyzmatyczny Maciej Korbowa (Paweł Deląg) – jest zarówno inspiratorem działań, jak i obiektem westchnień oraz rywalizacji kobiet. Jeśli tylko przebywa w pobliżu, skupia na sobie całą uwagę. Czuje się przywódcą, jednak ta funkcja czasami zdaje się go nieco przytłaczać. To on wygłasza chyba najważniejszy monolog w całym spektaklu. Mówi o tym, że z perspektywy czasu widzi przepaść między sobą dawnym a teraźniejszym. Ma też wrażenie, iż wiele rzeczy udało mu się zacząć, jednak niewiele z nich zakończyć.

Końca nie widać. Przejścia między kolejnymi częściami są płynne, początki też mogą wydawać się umowne przez nagłe wejścia bohaterów. W czasie jednej z przerw na ekranie widzimy refleksje aktorów na temat podróży. Jedne są filozoficzne, inne to po prostu opis miejsc, w których ktoś aktualnie się znajduje. Aktor to człowiek, żyjący w ciągłym ruchu, nieustannej podróży. Spektakl pokazuje, że jej efektem jest znużenie i swego rodzaju mentalne „dreptanie w miejscu”. Wydaje się, że ci ludzie nie potrafią już pójść dalej, ani wyjść „poza siebie”. Przebywają głównie w małej grupie – znają się doskonale i akceptują stany letargów twórczych.

W spektaklach Lupy nieodłącznym elementem zwracającym uwagę jest scenografia. Tutaj również możemy zauważyć wielość szczegółów, rekwizytów, które składają się na plastyczne kompozycje. W większości stonowane (szare lub czarne) stroje kontrastują z kolorowymi tkaninami, porozkładanymi na łózkach oraz obiciami krzeseł. Bohaterowie często kładą się na scenie w pozycjach, przypominających postać z obrazu „Babie lato” Józefa Chełmońskiego. Niejaka bezwładność i pozorna beztroska będzie im towarzyszyła do samego końca.

W grupie (oprócz samego Macieja) wyróżnia się także postać grana przez Radosława Krzyżowskiego. To Operator Filmowy, który jako jedyny potrafi trzeźwo ocenić sytuację i

przejawia realną chęć działania. Autentycznie obsługuje kamerę oraz częściowo dba o efekty dźwiękowe. Wprowadza też ferment w stosunki damsko-męskie, wybierając sobie jedną z kobiet. Często chowa głowę w kapturze i długo nie potrafi usiedzieć w jednym miejscu – niechętnie poddaje się ogólnej nudzie. Kiedy nagle łamie się pod nim (zapewne niezamierzenie) krzesło, można to odczytać jako nieprzewidziane zdarzenie symboliczne: ci, którzy coś robią naprawdę są często „zdetronizowani” przez tych, którzy pozorują działania.

„Bellatrix i Maciej Korbowa” w reż. Krystiana Lupa to spektakl, w którym widzimy ludzkie zagubienie w skali 1:1. Może sugerować to czerwona siatka kwadratów o równych kształtach – często pomagająca (dzieciom i nie tylko) przy odwzorowaniu jakiegoś rysunku. Wspomagani środkami odurzającymi artyści wciąż poszukują czegoś nowego, jednak te poszukiwania nie dają rezultatu. Po 20 latach oglądamy nadal swego rodzaju karykatury artystów, którzy – mimo swoich osiągnięć – nie są ludźmi spełnionymi. Ich twórczy niepokój jest w gruncie rzeczy przytłumiony: nie ma w nich zarażającej otoczenie energii. Słyszą wewnętrzny głos, za którym nie potrafią pójść. Parodiują w ten sposób samych siebie jako aktorów, którzy z artystów z krwi i kości stają się nagle nijakimi melancholikami.

Joanna Marcinkowska

Dziennik Teatralny Kraków

2. [Recenzja] Powrót na stare śmieci Witkacego

Krystian Lupa nie tyle rekonstruuje, co demontuje spektakl dyplomowy podopiecznych sprzed 2 dekad. Zza rusztowania przeziara psychodrama aktorów, próbujących znowu rozniecić ogień twórczego fermentu.

Jesteście niepoważni, nie wiem, co się tu dzieje -przerywa dyskusję **Radosław Krzyżowski**, opuszczając scenę. Stwierdzenie zasadne, ale, wbrew pozorom, nie odnoszące się jedynie do aktorów konfrontowanych z trudnym materiałem. Wyraźne zagubienie dojrzałej obsady grającej na nowo dyplomowe przedstawienie, wynika z czegoś więcej niż komunikacyjnych barier. Zwłaszcza, że gospodarzem ceremonii jest **Krystian Lupa**. Mistrz, u którego podział na to, co na scenie i to, co poza nią zawsze wydawał się umowny. Przynajmniej w fazie przygotowań do premiery. Nic dziwnego, iż przy reaktywacji dyplomu "**Macieja Korbowa i Bellatrix**" w **Łażni Nowej**, Lupa totalnie zatarł granicę między granymi a grającymi. To eksperyment na krawędzi teatru, który może podzielić publiczność. Zapraszając do egzorcyzmów nad spektaklem sprzed ponad 20 lat, reżyser prędzej demontuje niż rekonstruuje. Widzowie szukający łatwej nostalgii mogą poczuć się nieswojo.

Mistrz i Stwórca

Lupę się kocha i ogląda pasjami albo ledwie toleruje i okazjonalnie podpatruje. To reżyser, którego nie bez przesady nazywa się demiurkiem teatru. **Lupa jest nie tyle twórcą, co Stwórcą.**

Kreatorem powołującym do życia określone sceniczne mikro- społeczności. Kimś, kto z pewnością nie zadowoli się tymczasową projekcją idei na czas trwania spektaklu.

U Lupy ważne jest kolektywne doświadczenie, psychologiczne tarcia, hierarchie wewnątrzgrupowe, wreszcie transpozycja tego całego procesu na sferę scenicznej reprezentacji. To ostatnie bywa sporym wyzwaniem dla odbiorcy. Wraz z zachodzącymi w rodzimym teatrze zmianami, chyba coraz większym.

Teatr Lupy jawi się chyba jednym z ostatnich modernistycznych monolitów rodzimej kultury. Na przekór epoce cząstkowych idei, mieszanych konwencji, rozpolitykowanych manifestów, mistrz pozostaje wierny wielkim narracjom. **Odczytaniom, które z materiałem źródłowym wchodzą w dyskurs nie tylko intelektualny, ale też emocjonalny czy duchowy.** Tego typu transgresje owocują spektaklami niekoniecznie oderwanymi do codziennej rzeczywistości. Ostatnie przedsięwzięcie reżysera we wrocławskim Teatrze Polskim - **"Wycinka. Holzfalen"** zostało przecież przywitane jako aktualna refleksja nad oportunizmem elit artystycznych. Mimo tego, obcowanie ze światem Lupy nadal pozostaje kwestią podkreślenia receptorów. Inaczej łatwo rozminąć się z mistrzem. Mimo iż siedzi kilka metrów dalej.

Podrygi kieszonkowej bohemy

"Maciej Korbowa i Bellatrix" to w dorobku reżysera oryginalny, ale jednak appendix. Niesprawiedliwe byłoby więc porównywać łaźniowy eksperyment z wystawną adaptacją Bernhardta. **Inna forma, inne skala, inny cel.**

W zwierciadle krakowskiego przedsięwzięcia mającą refleksy co najmniej dwóch istotnych dokonań mistrza. "Maciej Korbowa i Bellatrix" to zarówno spektakl dyplomowy studentów krakowskiej PWST z 1993 roku, jak też wcześniejsza o 5 lat inscenizacja w jeleniogórskim Teatrze im. Norwida. To właśnie ta druga sztuka okazała się u Lupy kropką nad i, jeśli chodzi o "porachunki" z Witkacym. **Czytając ówczesne recenzje, można odnieść wrażenie, iż reżyser rozpętał na scenie nieznane dotąd witkacologom pandemonium.** Zamykając publiczność w klatce i potęgując to, co przy odbiorze teatru groteski Witkiewicza nie zawsze jest podkreślanie. Ból niespełnienia, który idzie w parze z przecuciem totalnej zagłady kultury. Zagłady obrazowanej hedonistycznymi podrygami "kieszonkowej" bohemy.

Jakże inaczej na tym tle wypada późniejsza, dyplomowa wersja "Macieja Korbowy". Katastroficzny happening zastępuje ekstrakcja tekstu na dwie płaszczyzny odczytań. **Materie: Mityczna i Pierwotna to połówki jednego przegniłego jabłka.** Dziś, gdy Lupa wgrzyza się w jego mięsz, kluczową kwestią jest fermentacja zachodząca w głowach byłej obsady. Bo "Korbowę" A.D. 2015 ogląda się głównie przez pryzmat pracy reżysera z aktorami.

Na kulturowym detoksie

Lupa de facto odkrył "Macieja Korbowę" dla polskiego teatru. Pierwsza dojrzała sztuka Witkacego, napisana ponoć w niecałe 3 tygodnie, świeżo po powrocie z frontu bolszewickiej rewolucji, jest typowym dziełem przejściowym (by nie powtarzać za Janem Błońskim - *nieudolnym*). Utwór z jednej strony antycypuje tezy autorskiej filozofii o zaniku uczuć metafizycznych, z drugiej - na

podobnej zasadzie co wczesna powieść "622 upadki Bunga" wiele czerpie z rezerwuaru młodopolskiej dekadencji.

Galeria postaci gromadząca się wokół tytułowego guru to znudzona arystokracja, "niepraktykujący" artyści, wyznawcy magii, filozofowie, ludzie sceny. **Osobnicy na kulturowym detoksie, wyczekujący jakiejś wielkiej iluminacji.** Sam Witkacy określił ich "*bandą zdegenerowanych ludzi na tle mechanizującego się życia*", w postaci charyzmatycznego Korbowa programując misję preparacji "sztucznych uczuć". Misję z tych niemożliwych i zwiędzonych klęską, ale odpowiadającą temu, co dzieje się w otoczeniu bohaterów. Refleksji cywilizacyjnej towarzyszy zarazem gra płynną, zmienianą niczym rękawiczki płciowością, którą Korbowa toczy na przemian z Bellatrix i Cayambe.

Big reunion, czyli powtórka z pisania matury

Trudność z absorpcją tych wszystkich treści posiada w nowym projekcie Lupy jakby drugie dno. Witkacy wizualizował gromadę odszczepieńców w skali 1:1, choć z typowym dla teatru absurdu przechyłem. Na deskach Łaźni Nowej tymczasem trwa jakby jedna wielka symulacja kolektywnego upadku. **Symulacja, którą dojrzała obsada przeprowadza w nie zawsze składny sposób.** Śmietnisko cywilizacyjne Witkacego stało się starymi śmieciami, do których powrót oznacza większy niż kiedyś dystans. I to widać na twarzach, słysząc w głosie i czując w emocjach.

"Reunion" absolwentów PWST, Lupa dzieli dość precyzyjnie na fazy "rekonstrukcji" i "materiałów dodatkowych". **Zabieg rodem z kolekcjonerskiego wydania DVD, gdzie wersji reżyserskiej towarzyszą atrakcyjne materiały z planu, często bardziej ciekawe od kolejnego seansu filmu.** I tak po trochę jest z nowym "Korbową". Całe napięcie ustanawia tu część trzecia, gdzie aktorzy porzucają witkacowskie kostiumy i własnymi słowami próbują uchwycić istotę warsztatowego wyzwania.

Na ile duże to wyzwanie, uświadamiają wspomniane etapy "rekonstrukcyjne". Publiczność, oczywiście oddzielona od sceny kratą i kurtyną (odsłoniętą), jak pod mikroskopem obserwuje zmagania aktorów z dyplomowym materiałem. **Jest w tym coś z koszmarnego snu o ponownym pisaniu matury, ale też gorzkiej prawdy o aktorstwie samym w sobie.** I nie chodzi nawet o upływ czasu, weryfikujący stosunek do granej postaci (choć użycie nagrania "**When I'm 64**" **Beatlesów** jest wielce ironiczne). Lupie udaje się przede wszystkim wyzwolić w zespole skalę osobistych emocji, których bieguny wyznaczają ofiarna identyfikacja z graną postacią i poczucie braku oparcia w odległej czasowo wizji.

Opiekun wycieczki czy przewodnik po muzeum?

Widownia ogląda to wszystko razem z sekundującym aktorem Lupą. Opiekunem wycieczki do przeszłości, który, jeśli trzeba, wyprowadzi z garderoby na scenę czy podpowie, w jakim kierunku zmierza zachowanie postaci. **Reżyserskie uwagi typu: To jest cierpienie nadają przedstawieniu charakter muzealnej inspekcji.** Ożywione eksponaty znajdują dla siebie małą enklawę wolności. W zamykającym spektakl epizodzie, gdzie już bez Lupy (za to z muzyką Ash Ra Tempel i Mozarta) dokonują analizy podjętego zadania.

Analiza przeprowadzona trochę po omacku, ale dla widzów chyba najbardziej interesująca. Wiele z padających wówczas słów, jak te **Pawła Deląga** o przywiązaniu do początków, ciągłym podpinaniu się do jakiejś sieci, mogłoby posłużyć za motto łaźniowego projektu. **Małgorzata Maślanka** czy **Agnieszka Trzyna** sugerują jednocześnie, iż to se ne vrati. Jeśli nie brak towarzyskiej konsolidacji, to znowu prywatne, ułożone życie nie idzie w parze z przekazem witkacowskich wyziewów. *Przepraszam za spóźnienie* w pewnym momencie staje się tu słowem- wytrychem.

Symbolicznie brzmią również czytane przez **Tadeusza P. Łomnickiego** prasowe doniesienia o dewastacji zabytków przez islamskich ekstremistów. Tu praca nad wieszczącym katastrofę duchową Witkacym, a tam - katastrofa realna, dewastująca fundamenty ludzkiej kultury. Co jest bardziej istotne?

Po zasuniętej kurtynie pozostaje ciemność i rozmowy aktorek o dostaniu nowej roli. Wehikuł czasu Lupy został wyłączony. Trzeba zrobić restart rzeczywistości. Pomyśleć o prozie codziennego życia. Być poważnym w niepoważnej sferze. I czekać, aż mistrz ponownie zwoła grupę rekonstrukcyjną. Aktualnie należy szukać go w Chinach.

Premiera spektaklu "Maciej Korbowa i Bellatrix" odbyła się 28 kwietnia w Łażni Nowej. Kolejne spektakle w połowie maja.

Łukasz Badula
KulturaOnline

3. Cena przejazdu wehikułem czasu

Krystian Lupa wraca po latach do spektaklu dyplomowego z krakowskiej PWST z 1993 roku. Czy może raczej: to spektakl wraca do Krystiana Lupy, to jego byli studenci wyszli bowiem z inicjatywą zrekonstruowania "Macieja Korbowa i Bellatrix" Witkacego. To rzecz dziwaczna - autotematyczna, momentami bardzo intymna; stworzona pewnie bardziej dla samych aktorów niż dla widzów.

Bo to spektakl w pewien sposób dla nas zamknięty. Jesteśmy oddzieleni od aktorów nie tylko klatką, która odgradza widownię od sceny, lecz także - nie mamy po prostu dostępu do całego tego ładunku emocji, który kotłuje się zapewne w głowach twórców. Trzeba o tym pamiętać: "Maciej Korbowa i Bellatrix" to bezkompromisowa próba powrotu do młodości; już sam fakt spotkania po ponad dwudziestu latach jest, podejrzewam, silnym wstrząsem, a tu dochodzi jeszcze bezczelny pomysł, by niejako wejść w siebie sprzed lat. Także nie o Witkacego raczej idzie, chociaż z pierwszej części spektaklu Stanisław Ignacy pewnie byłby zadowolony - katastroficzne spojrzenie na naszą cywilizację miesza się tu z ginącą Sztuką i zdychającą Filozofią, a pierwotna siła seksualności z blednącą Metafizyką. Ciężko nie dostrzec pewnego podobieństwa - bo ja wiem - tematycznego między "Maciejem..." i niedawną wspaniałą "Wycinką". To są oczywiście inne, by tak to ująć, temperamenty dzieł. W "Wycince" mamy do czynienia z zimniejszą, bardziej metodyczną charakterystyką wypalonych dekadentów, tutaj - wszystko jest głośnie, bełkotliwe, agresywne. Bernhard i Witkacy - inne światy, ale rdzeń dziwnie podobny: zagubieni, przekreśleni artyści.

Powtarzam jednak: nie dialog z autorem "Szewców" jest tu najważniejszy. Najważniejsi są aktorzy, ich spojrzenie na samych siebie sprzed dwóch dekad, ich - nie bójmy się odrobiny patosu - rachunek życia. To pewnie wielowymiarowe doświadczenie, słodko-gorzkie, ale widać ich entuzjazm, widać, że dobrze się w tej sytuacji czują. Zresztą, nie tylko oni, jak myślę, cieszą się tym powrotem. Przez większą część spektaklu bierze w nim udział także sam Lupa: komentuje z offu, dopowiada, daje "wskazówki" (swoją drogą, jest to najzabawniejsza warstwa przedstawienia). Ciężko też oceniać grę aktorów, bo "Maciej Korbowa i Bellatrix" to rzecz niestandardowa; zamiast kreacji czy pełnokrwistych przeistoczeń widzimy raczej ciągle próby odnalezienia się w dawno zrzuconej skórze.

To pół odgrywanie, pół bycie ma zresztą swoje apogeum - końcówka spektaklu, dopisana (czy może: doimprowizowana w czasie prób?) do Witkacego to już niemalże bezpośrednia konfrontacja aktorów z własnymi wątpliwościami czy trudnościami. W odstawkę idzie Witkiewicz, zostajemy z aktorami, którzy wprost opowiadają o uczuciach związanych z realizacją swojego pomysłu. I chociaż wcześniej mogliśmy mieć wrażenie trudności wejścia w ich doświadczenie, ciężko było nam przecież do końca pojąć wyjątkowość tej sytuacji - to teraz, gdy maski już opadły, wreszcie możemy poczuć się dopuszczeni do, powiedzmy, współodczuwania. Mętny spektakl zmienia się w szczerze i autoironiczne podsumowanie życia pewnej grupy ludzi, których drogi dawno się już porozchodziły. To moment prawdziwie przejmujący, niech żałują ci, którzy nie wrócili na widowieństwo po drugiej przerwie (ktoś tam do kogoś w czasie tejże drugiej przerwy: "My już się chyba zbieramy").

Najlepszym dowodem na to, że "Maciej Korbowa i Bellatrix" to nie - jakkolwiek głupio to zabrzmiało - przedsięwzięcie stricte teatralne, a raczej życiowy bilans wtłoczony w teatralne ramy, są ostatnie sekundy przedstawienia. Czy może właśnie już nie przedstawienia. Światła już zgasły, kurtyna zasłonięta. Ale my jeszcze przez chwilę słyszymy rozmowę dwóch aktorek, które zastanawiają się nad tym co teraz. Co dalej? Dobre pytanie. Zrobiliśmy to, cofnęliśmy się o te dwadzieścia lat. Podsumowanie już dokonane, ale rzeczywistość odsunięta na chwilę na bok czeka przecież tuż za rogiem. Tak więc: co dalej? Nic? Może. Daje się wyłapać niejasne wrażenie zawieszenia w próżni. Taka bywa cena powrotów. Tyle kosztuje niebezpieczna zabawa wehikułami czasu.

Karol Płatek

<http://teatrdlawas.pl/spektakle/2226-maciej-korbowa-i-bellatrix>